



Przy zbiegu ulic Mokotowskiej i Wilczej stoi potężna, wczesnomodernistyczna kamienica.

Zbudowano ją dla Wiktora Bychowskiego w latach 1910 - 1912. Zapewne według projektu Mariana Kontkiewicza, co można wnosić z niezwykłego podobieństwa tego domu do kamienicy własnej architekta przy ulicy Koszykowej 70. - podaje Jarosław Zieliński w „Atlasie dawnej architektury ulic i placów Warszawy”. Rzeczywiście oba budynki są narożne, mają wykusze nadwieszane powyżej parteru, o charakterystycznych łagodnych liniach. Między nimi rozpięto balkon z kutymi balustradami. Pierwotnie narożniki obu kamienic zwieńczone były wysokimi kopolami, po wojnie jednak żadnej z nich nie odbudowano. Przy Mokotowskiej inaczej zaprojektowana została ostatnia kondygnacja, obiega ją ciąg efektownych loggi. Elewacja jest dzisiaj mocno przybrudzona, nie zachowały się masywne dębowe wrota prowadzące do bramy, ale jej reprezentacyjne wnętrze oraz klatka schodowa niedawno przeszły remont. Odrestaurowano bogate stiukowe dekoracje. Można odnaleźć w nich motywy liści kasztanowca i winorośli. Lśnią bielą szerokie marmurowe stopnie

schodów. Dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do mieszkań są półkolistie zamknięte od góry i osadzone w ozdobnych, uszakowatych futrynach. Architekt zadbał nie tylko o urodę wnętrza, zapewnił lokatorom wiele nowoczesnych rozwiązań: centralne ogrzewanie, gazowe kuchnie oraz fornirowaną mahoniem windę.

Dyonizy Bulik mieszkał przy Mokotowskiej od 1935 roku. - To była ekskluzywna kamienica - wspomina. - Mieszkania olbrzymie, z dwoma wejściami, kryształowy żyrandol w bramie mienił się różnymi kolorami. Dozorca codziennie splukiwał chodnik przed domem, miał dwóch pomocników, na stałe zatrudniony był też windziarz. Nasza rodzina żyła tu jednak w złych warunkach. Z rodzicami i siostrą zajmowaliśmy suterенę, w której ojciec prowadził warsztat ślusarski. To był jeden pokój z kuchnią. Bez łazienki, z toaletą w podwórzu. Trzy nieduże okna znajdowały się pod samym sufitem. Rodzice jednak i tak uważali, że warunki im się znacznie poprawiły. Poprzednio zajmowali sąsiednią, jeszcze mniejszą suterенę. Jej okno było poniżej poziomu chodnika, wychodziło na ścianę wnęki zabezpieczonej od góry kratą.

Jacek Bulik
z synem Dyonizym
w warsztacie ślusarskim
przy Mokotowskiej 61,
1949 rok



A teraz okna znajdowały się powyżej chodnika! Do pierwszej dzienne światło wpadało jedynie wąskim pasem przy samej ścianie, właściwie panowała tam ciemność. W takich warunkach rodzice mieszkali z małym dzieckiem, moją siostrą Ireną. Dziś trudno to sobie wyobrazić.



Czteroletni Dyonizy Bulik
w parku Ujazdowskim
w 1939 roku

Niełatwą sytuację mieszkaniową miała też rodzina Władysława i Stanisławy Stronków, która od 1928 roku prowadziła w kamienicy kwiaciarnię. - Rodzice najpierw sami, a później ze mną zajmowali drewnianą antresolę nad sklepem - opowiada Zygmunt Stronk. - Około trzydziestu metrów, jeden pokój i wydzielona kuchnia. Łazienki nie mieliśmy, toaleta była wspólna w podwórzu. Ojciec zmarł w czterdziestym roku na gruźlicę, ja w drugiej połowie lat pięćdziesiątych przeprowadziłem się do Zalesia, mama jednak na antresoli mieszkała przez większość swojego życia. Aż do emerytury. Firmę prowadzi teraz moja córka, a jej wnuczka - Iwona Hys-Ma-

linowska. Nasza kwiaciarnia jest najdłużej działającą w Warszawie, już osiemdziesiąt cztery lata. Do niedawna istniała jeszcze druga o zbliżonym stażu, przy Koszykowej. Po śmierci właściciela, pana Nowakowskiego, nikt jej jednak nie przejął.

W kamienicy oprócz luksusowych mieszkań i szeregu sklepów mieściło się Państwowe Gimnazjum Żeńskie im. Narcyzy Żmichowskiej. Upamiętnia to tablica, na której umieszczono informację, że gimnazjum działało tu od 1919 do 1939 roku. Szkołę wspierało finansowo Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, dzięki czemu posiadała dobre wyposażone pracownie i bogatą bibliotekę. Jej program miał charakter nowatorski, kształcono dziewczęta z niezamożnych rodzin, przeciwdziałano społecznemu wykluczeniu. Szkoła straciła swoje pomieszczenia we wrześniu 1939 roku, spłonęły dokumenty, wyposażenie pracowni i większość księgozbioru. - W dom uderzyły dwie bomby - wspomina Dyonizy Bulik. - Jedna burząca, druga zapalająca. Pierwsza, stosunkowo nieduża, przebiła najwyższe kondygnacje, druga spowodowała pożar. Ojciec brał udział w jego gaszeniu, był społecznym komendantem ochrony przeciwlotniczej. W pomoc włączyło się wielu sąsiadów, również Władysław Stronk. Zburzona i spalona została też przylegająca kamienica, przy Wilczej 5. Gruz na naszym podwórku leżał do wysokości pierwszego piętra. Podczas bombardowań suterena jest najbezpieczniejszym miejscem w całym domu. Gromadziło się więc u nas mnóstwo ludzi. Powtórzyło się to później, podczas powstania. W nocy nie można było wyjść inaczej, niż depcząc śpiących, tylu ludzi pokotem leżało na podłodze.



Dyonizy Bulik od urodzenia, czyli od 1935 roku, do 1959 mieszkał przy Mokotowskiej 61. Przez 45 lat, do 2002 roku, prowadził tam warsztat ślusarsko-hydrauliczny, który przejął po ojcu.



Reprezentacyjne wnętrze bramy zostało niedawno wyremontowane

Widok na zbombardowaną kamienicę przy ulicy Mokotowskiej róg Wilczej



Ulicę Mokotowską przy rogu z Wilczą przecięła barykada



Zabarykadowane wejście do bramy przy Mokotowskiej 61. Wszystkie trzy zdjęcia Mariana Grabskiego „Wyrwy” z początku września 1944 roku. MPW



Gdy wojna wybuchła, Zygmunt Stronk miał dziewięć lat. – Szybko zrobiłem się bardzo samodzielny, zwłaszcza że rok później straciłem ojca – opowiada. – Zarobki w kwiaciarni spadły, mama ratowała się, sprzedając prócz kwiatów artykuły spożywcze. Ja handlowałem papierosami. Miałem specjalne płaskie pudełko zawieszane na szyi, moim punktem był wylot Hożej przy placu Trzech Krzyży. Później znalazłem sobie inne zajęcia. Naprzeciwko, przy Mokotowskiej 52, mieszkali państwo Wąsowscy. Mieli dwóch dorastających synów, którzy wciągnęli mnie i kilku innych chłopców w moim wieku do Zawiszków, najmłodszej grupy Szarych Szeregów. Taka minikonspiracja. Zdobywaliśmy środki opatrunkowe, niemieckie mundury, a nawet fragmenty uzbrojenia.

Kradliśmy to z samochodów parkujących w niemieckiej dzielnicy, przy ulicach: Konopnickiej, Frascati, Na Skarpie. Zawsze w grupie, dwóch obserwowało okolicę, dwóch, trzech ściągało spod plandeki potrzebne rzeczy. Roznosiłem też po mieście rozmaite paczki, trzykrotnie dostarczałem przesyłki do getta. Byliśmy w porozumieniu z niektórymi policjantami pilnującymi w tramwajach, by w getcie nikt nie wsiadał ani nie wysiadał. Ja jednak tam wyskakiwałem, a policjant udawał, że mnie nie widzi. Odnosiłem paczkę pod wskazany adres, potem czekałem na tramwaj ze znanym mi policjantem i wskakiwałem z powrotem. Nie wiedziałem wówczas, co było w tych paczkach, i do dziś tego nie wiem. Mogę się tylko domyślać, że dokumenty lub pieniądze.

Dłuższa elewacja narożnej kamienicy wychodzi na ulicę Mokotowską, krótsza na Wilczą



Na klatce schodowej zachowały się marmurowe stopnie, ceramiczne kafle, kuta balustrada

1 sierpnia 1944 roku ulicę Mokotowską zajęli powstańcy. Przed kamienicą stanęła barykada. Szesnastoletnia Irena Bulik pożegnała się z rodzicami. Była sanitariuszką w powstaniu, została ranna przy ulicy Lwowskiej. Dziewięcioletni Dyonizy Bulik pomagał powstańcom, rozłupując żeliwne grzejniki na małe kawałki, wielkości kostek cukru. Używano ich do wyrobu granatów. Razem z rodzicami przetrwał w suterenie przy Mokotowskiej 61 aż do 2 października. Czternastoletni Zygmunt Stronk poszedł z kolegami na Wolę. Z mamą się nie pożegnał, zadzwonił jedynie do państwa Wąsowskich z prośbą, by ją powiadomili. - Mielśmy się stawić na rogu Młynarskiej i Wolskiej - wspomina. - Budowaliśmy

tam barykady, pomagaliśmy przy rannych. Później, w grupie około pięćdziesięciu osób, przenosiliśmy w kierunku Starówki jedzenie, opatrunki, telefony. Gdy dotarliśmy na ulicę Focha, zostałem przydzielony do pomocy strzelcowi, który ochraniał pałac Saski. Razem z kolegą czyściliśmy mu broń, przynosiliśmy meldunki i posiłki. Aż do momentu, gdy poległ. Dzień później obudził mnie stojący nade mną Niemiec. Zostałem zapędzony na zaplecze Teatru Wielkiego, gdzie było już dwieście - trzysta osób. Mnie i dwóch chłopców w moim wieku skierowano do sprzątania zwłok z placu Teatralnego. Gdy po dwóch dobach nas wypuścili, okazało się, że pozostałych rozstrzelano w teatrze.

Zygmunt Stronk po powstaniu został wywieziony do Buchenwaldu, stamtąd do Bergen-Belsen, dalej do obozu przejściowego w Lerte, a na koniec trafił do pracy u niemieckiego gospodarza. Tam doczekał wkroczenia Amerykanów. Do Warszawy wrócił w 1946 roku, gdy przez Czerwony Krzyż dowiedział się, że jego mama żyje. - Pamiętam ten moment doskonale - mówi Dyonizy Bulik. - Wielki szum zrobił się wśród chłopaków na Mokotowskiej. Zygmunt wrócił! W mundurze!!! Na rękawie miał biały napis: Poland. Bardzo nam imponował.

W 1952 roku Zygmunt Stronk został aresztowany pod zarzutem przynależności do nielegalnej organizacji i przygotowań do obalenia ustroju Polski Ludowej. Skazany na sześć lat, wyszedł z więzienia na mocy amnestii w 1956. Rok później został zrehabilitowany.

Po wojnie dom przy Mokotowskiej przejęła spółdzielnia budowlano-mieszkaniowa. Dyonizy Bulik obserwował nowe porządki. - Wprowadziło się mnóstwo nowych ludzi. Wszystkie lokale zostały podzielone, w każdym pokoju żyła teraz inna rodzina. Z okien wystawały rury, loka-

torzy zainstalowali tak zwane kozy, ponieważ nie działało centralne ogrzewanie. Nie chodziła winda, dozorca już nie splukiwał chodnika przed domem. Z czasem najwyższe kondygnacje odbudowano, później po sąsiedzku, przy Wilczej 5, stanął nowy dom. Ale już oczywiście w zupełnie innym kształcie.

